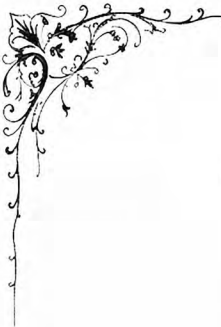


SHERLOCK HOLMES

Stadium w szkarłacie



ARTHUR CONAN DOYLE



ARTHUR CONAN DOYLE

SHERLOCK HOLMES

Studium
w szkarłacie

Część I.
Ze wspomnień
Johna H. Watsona,
byłego lekarza armii angielskiej

Rozdział I

Sherlock Holmes

W roku 1878 uzyskałem stopień doktora medycyny na Uniwersytecie Londyńskim i udałem się do Netley na kurs dla chirurgów armii. Uzupełniwszy tam swoje studia medyczne, zostałem mianowany asystentem chirurga w Piątym Pułku Strzelców Northumberlandzkich. Pułk stał wówczas w Indiach i zanim zajęchem na miejsce, wybuchła druga wojna afgańska¹. Po wylądowaniu w Bombaju dowiedziałem się, że mój pułk przekroczył już wąwozy pograniczne i wtargnął w głąb kraju wrogów. Wraz z gronem oficerów, którzy znajdowali się w tym samym co ja położeniu, wyruszyliśmy w dalszą drogę i przybyliśmy bez przygód do Kandaharu², gdzie zastałem swój pułk i objąłem od razu swoje obowiązki.

Wojna przyniosła niejednemu zaszczyty, mnie zaś tylko niedolę.

Przeniesiony ze swojej brygady do oddziału Berkshire'ów, brałem udział w nieszczęsnej bitwie pod Maiwandem³. Tam kula strzaskała mi obojczyk i zadrasnęła arterię. Byłbym niechybnie wpadł w ręce krwiożerczych Ghazi⁴, gdyby nie przywiązanie i odwaga Murraya, mojego ordynansa⁵, który pochwycił mnie, rzucił na grzbiet konia i dowiózł tak do szeregów brytyjskich. Wycieńczonego bólem, osłabionego dotkliwymi niewygodami, wysłano mnie wraz z licznym

1 druga wojna afgańska – chodzi tu o II wojnę brytyjsko-afgańską, konflikt zbrojny trwający w latach 1878–1880.

2 Kandahar – drugie największe miasto Afganistanu po Kabulu, położone na południu kraju.

3 bitwa pod Maiwandem – bitwa w czasie II wojny brytyjsko-afgańskiej, największe zwycięstwo wojsk afgańskich.

4 ghazi (arab.) – muzułmański wojownik.

5 ordynans (dawn.) – żołnierz pełniący służbę przy oficerze.

gronem rannych do szpitala głównego w Peszawarze⁶. Tu zacząłem wkrótce odzyskiwać siły i poprawiłem się już o tyle, że mogłem chodzić po salach, a nawet wygrzewać się na słońcu, gdy powaliła mnie znowu gorączka tyfoidalna, ta plaga naszych posiadłości indyjskich. Przez kilka miesięcy walczyłem ze śmiercią, a gdy nareszcie niebezpieczeństwo minęło i zaczęła się rekonwalescencja, byłem tak wychudzony i słaby, że konsylium lekarskie orzekło, iż każdy dzień zwłoki jest groźny i należy niezwłocznie odesłać mnie do Anglii. Wsiadłem tedy na okręt „Orontes” i w miesiąc później wylądowałem w Plymouth, mając zdrowie bezpowrotnie zrujnowane, lecz zaopatrzony w zamian w dziewięćmiesięczny urlop. Ojcowski rząd⁷ pozwolił mi spędzić ten czas na usiłowaniach zmierzających do odzyskania zdrowia.

Nie miałem w Anglii ani krewnych, ani własnego domu, byłem zatem wolny jak ptak – albo raczej tak wolny, jak może być człowiek mający do wydania dziennie jedenaście szylingów⁸ i sześć pensów. W tych warunkach udałem się oczywiście do Londynu, tego wielkiego ogniska, do którego, gnany nieprzepartą przyciągającą siłą, dąży z całego imperium brytyjskiego tłum próżniaków bez zajęcia i określonego celu w życiu.

Przez krótki czas mieszkalem w małym hotelu na Strandzie⁹, prowadząc życie jednostajne, beczynne i wydając znacznie więcej pieniędzy, niż mnie było stać na to. Stan moich finansów stał się niebawem tak niepokojący, że uprzytomniłem sobie, iż należało albo opuścić stolicę i osiąść gdzieś na wsi, albo zmienić najzupełniej tryb życia. Wybrawszy tę ostatnią alternatywę, postanowiłem wynieść się z hotelu i poszukać mieszkania mniej świetnego na pozór i mniej kosztownego.

Tego samego dnia, w którym doszedłem do tego wniosku, stałem w barze „Criterion”, gdy nagle uczulem czyjąś dłoń na swym ramieniu – odwróciłem się i ujrzałem młodego Stamforda, który był moim pomocnikiem w szpitalu św. Bartłomieja (St. Barts). Widok znajomej

6 Peszawar – miasto na północy Pakistanu.

7 rząd – tu w znaczeniu: gospodarność.

8 szyling – dawna brytyjska moneta o wartości 1/20 funta szterlinga.

9 Strand – jedna z głównych ulic w centrum Londynu.

twarzy jest bardzo miły dla człowieka samotnego wśród wielkomiejskiego gwaru. Stamford nie był moim bliskim przyjacielem, ale teraz powitałem go z uniesieniem, a on nawzajem był, jak się zdawało, zachwycony spotkaniem. W radosnym zapale zaprosiłem go na śniadanie do Holborna i po chwili wsiadaliśmy do dorozki.

– Co się z panem działo, Watsonie? – zapytał Stamford z nieskrywanym zdziwieniem, gdy jechaliśmy gwarnymi ulicami londyńskimi. – Wychudł pan jak szczapa i poczerniał jak święta ziemia.

Opowiedziałem mu w krótkich słowach swoje przygody i skończyłem właśnie, gdy stanęliśmy u celu.

– Biedaku – rzekł tonem współczucia. – A cóż pan teraz robi?

– Szukam mieszkania – odparłem. – Usiłuję rozstrzygnąć zagadnienie, czy możliwe jest znaleźć wygodne lokum za jakąś rozsądną cenę.

– Szczególna rzecz – zauważył mój towarzysz – już drugi człowiek dzisiaj porusza ze mną ten sam temat.

– A kto był pierwszy? – spytałem.

– Pewien jegomość pracujący w laboratorium chemicznym w szpitalu. Żalił się dziś rano, że nie może znaleźć nikogo, kto by chciał wziąć z nim do spółki mieszkanie, podobno bardzo ładne, ale za drogę dla niego.

– Ach, Boże! – zawołałem. – Jeśli istotnie pragnie znaleźć kogoś, kto by dzielił z nim mieszkanie i komorne¹⁰, służę mu. Wolę mieć wspólne mieszkanie aniżeli żyć samotnie.

Młody Stamford spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, popijając wino.

– Nie zna pan jeszcze Sherlocka Holmesa – rzekł. – Może nie będzie go pan chciał za stałego współlokatora.

– Dlaczego? Co ma pan mu do zarzucenia?

– O, nie mam mu nic do zarzucenia. Ale to poniekąd dziwak... Entuzjasta w pewnych dziedzinach nauki. O ile jednak go znam, człowiek bardzo przyzwoity.

– Czy nie pytał go pan, jaki zawód zamierza obrać?

10 komorne (dawn.) – czynsz, opłata za wynajem mieszkania.

– Nie. Nie należy do ludzi, z których można by coś wydobyć, choć z drugiej strony potrafi się wywnętrzyć, gdy mu przyjdzie fantazja.

– Rad bym się z nim spotkać – rzekłem. – Jeśli mam mieć współlokatora, wołałbym, żeby to był człowiek pracowity i spokojnych przyzwyczajęń. Nie mam jeszcze sił na znoszenie hałasu lub wzruszeń. Miałem i jednego, i drugiego tyle w Afganistanie, że mi to starczy na resztę mego życia. Kiedy mógłbym się spotkać z pana znajomym?

– Jest teraz na pewno w laboratorium – odparł mój towarzysz. – Albo nie przychodzi tygodniami, albo też pracuje od rana do wieczora. Jeśli chce pan, pojedziemy tam po śniadaniu.

– I owszem – odparłem, po czym rozmowa weszła na inne tory.

W drodze do szpitala, po wyjściu od Holborna, Stamford opowiedział mi jeszcze kilka szczegółów o człowieku, z którym miałem mieszkać.

– Tylko niech pan nie ma do mnie żalu, jeśli się pan z nim nie porozumie – mówił. – Znam go jedynie z laboratorium. Sam wpadł pan na myśl wspólnego mieszkania z nim, proszę nie czynić mnie za nic odpowiedzialnym.

– Jeśli wspólne pożycie okaże się dla nas niemożliwe, nietrudno nam będzie się rozstać – odrzekłem. – Zdaje mi się, Stamfordie – dodałem, patrząc bystro na swego towarzysza – że są jakieś specjalne powody, aby tak umywać ręce od wszystkiego, co by mogło zająć. Czy ten człowiek ma taki gwałtowny temperament, że należy go się obawiać? Niech pan nie będzie taki skryty i powie, co ma na myśli.

– Nielatwa to rzecz wypowiedzieć to, co jest nieuchwytnie – odrzekł ze śmiechem. – Holmes jest, jak dla mnie, za wielkim fanatykiem nauki... Zdaje mi się, że skutkiem tego zatracił wszelką wrażliwość. Wyobrażam sobie, że byłby zdolny zaaplikować przyjacielowi szczyptę świeżo odkrytej trucizny roślinnej, i to bynajmniej nie przez niegodziwość, ale po prostu pod wpływem swego zmysłu badawczego, dlatego aby móc zdać sobie dokładnie sprawę z tego, jak ta trucizna działa. Trzeba jednak oddać mu sprawiedliwość i zaznaczyć, że sam zażyłby trucizny z nie mniejszą skwapliwością. Jest to człowiek mający wprost namiętność do wiedzy ścisłej i dokładnej.

– I słusznie, moim zdaniem.

– Tak, ale można posunąć tę zaletę do przesady. Gdy badacz dochodzi do tego, że obija kijem na stole anatomicznym poddawanego sekcji trupa, może się to wydawać co najmniej dziwne.

– Obija trupa?

– Tak, dla sprawdzenia, o ile ślady ciosów występują po śmierci. Widziałem to na własne oczy.

– A jednak mówi pan, że nie jest studentem medycyny?

– Nie. Bóg jeden wie, jaki jest cel jego studiów. Oto jesteśmy na miejscu i niebawem będzie pan mógł sam wyrobić sobie opinię o nim.

Gdy to mówił, skręciliśmy w wąską uliczkę i weszliśmy małymi bocznymi drzwiami, prowadzącymi do jednego ze skrzydeł wielkiego szpitala. Znałem tu wszystkie zakątki i nie potrzebowałem przewodnika, idąc po zimnych schodach kamiennych i dążąc długim korytarzem o białych, pobielonych wapnem ścianach, na który wychodziły drzwi pomalowane brązową farbą. Na samym prawie końcu korytarza skręciliśmy w nisko sklepione odgałęzienie, prowadzące do laboratorium chemicznego.

Był to pokój bardzo obszerny, wysoki, zastawiony niezliczonymi butelkami i fiolkami. Szerokie, niskie stoły poustawiane były we wszystkich kierunkach, a na nich wśród retort i probówek jaśniały błękitnawe płomyki małych palników Bunsena¹¹ i rzucały migocące blaski.

W sali tej, prawie na samym końcu, stał tylko jeden student, pochylony nad stołem i zatopiony w swej pracy. Na odgłos naszych kroków obejrzał się i z radosnym okrzykiem podbiegł ku nam, trzymając probówkę w ręku.

– Mam go! Mam go! – zawołał, zwracając się do mego towarzysza. – Znalazłem jedyny odczynnik, który osadza hemoglobinę! Jedyny!

Gdyby odkrył kopalnię złota, oblicze jego nie mogłoby być rozpromienione większą radością.

11 palnik Bunsena – wynaleziony ok. 1850 r. rodzaj gazowego palnika laboratoryjnego, umożliwiającego regulację temperatury płomienia.

– Doktor Watson, pan Sherlock Holmes – rzekł Stamford, przedstawiając nas.

– Dzień dobry panu, panie doktorze! – powiedział Holmes przyjaźnie i uściśnął moją dłoń z siłą, o jaką nigdy bym go nie posadzał. – Widzę, że pan był w Afganistanie?

– A skąd pan to wie? – spytałem zdumiony.

– Mniejsza o to – rzekł, uśmiechając się z zadowoleniem. – W tej chwili najważniejszą sprawą jest hemoglobina i jej odczynnik. Nie wątpię, że panowie pojmą całą doniosłość mojego odkrycia.

– Jest niewątpliwie ważne dla nauki chemii – odparłem – ale z punktu widzenia praktycznego...

– Jak to, panie doktorze, ależ od wielu lat nie dokonano odkrycia, które miałyoby takie praktyczne znaczenie dla celów sądowo-lekarskich! Czyż pan nie widzi, że jest to niezawodny sposób rozpoznawania plam pochodzących od krwi? Proszę, niech pan podejdzie do stołu! – I w zapale chwycił mnie za rękaw i pociągnął do stołu, przy którym pracował. – Weźmy trochę świeżej krwi – rzekł, ukłuł się w palec lancetem i kropkę krwi, która wytrysła, zebrał w małą rurkę. – Teraz wlewam tę kropelkę krwi do litra wody. Jak pan widzi, woda pozostaje zupełnie czysta. Stosunek krwi nie może przewyższać jednej milionowej części. Nie wątpię wszakże, iż będziemy mogli otrzymać reakcję charakterystyczną.

Mówiąc to, wrzucił do naczynia z wodą kilka białych kryształów, a potem dodał parę kropel przezroczystego płynu. W jednej chwili zawartość naczynia przybrała ciemną barwę mahoniową, a na dnie naczynia szklanego ukazał się brunatny osad.

– Ha! ha! – zawołał Holmes, klaszcząc w ręce jak dziecko zachwycone nową zabawką. – I cóż pan na to?

– Zdaje się, istotnie, że to odczynnik bardzo czuły – zauważyłem.

– Świetny! Znakomity! Dawniej przy pomocy gwajakolu¹² można było otrzymać z trudnością jakie takie wyniki, i to jeszcze bardzo niepewne. Rozbiór mikroskopowy krwi nie jest bynajmniej ściślejszy,

12 gwajakol – związek organiczny otrzymywany ze smoły buku, stosowany m.in. jako środek wykrztuśny i antyseptyczny.

a nie ma wprost żadnej wartości, jeśli plamy mają kilka godzin. Tymczasem mój odczynnik działa równie dobrze bez względu na to, czy krew jest świeża, czy stara. Gdyby był znany wcześniej, setki ludzi, spacerujących swobodnie po kuli ziemskiej, byłoby już dawno ukaranych za popełnione przestępstwa.

– Istotnie – szepnąłem.

– Jest to punkt główny wszystkich niemal spraw kryminalnych. Często bywa, że podejrzenie pada na człowieka w kilka miesięcy po spełnieniu zbrodni. Eksperci badają tedy jego bieliznę albo ubranie i znajdują brunatne plamy. Co to za plamy? Od krwi, błota, rdzy czy soku owocowego? Pytanie to wprowadziło w niemały kłopot niejednego biegłego, a dlaczego? Dlatego, że nie było niezawodnego odczynnika. Teraz mamy odczynnik Sherlocka Holmesa i wszelka niepewność jest odtąd wyłączona.

Oczy jego iskrzyły się, gdy mówił, a skończywszy, przyłożył dłoń do serca i złożył ukłon, jak gdyby dziękował jakiemuś urojonemu, okłaskującemu go tłumowi.

– Należą się panu gratulacje – rzekłem, zdziwiony jego uniesieniem.

– Ot, na przykład sprawa von Bischoffa we Frankfurcie w zeszłym roku. Byłby niewątpliwie powieszony, gdyby ten odczynnik już istniał. A Mason z Bradfordu, a słynny Müller, a Legévre z Montpellier, albo Samson z Nowego Orleanu? Mógłbym wymienić cały szereg spraw, w których mój odczynnik odegrałby decydującą rolę.

– Ależ pan jest chodzącym kalendarzem zbrodni – wtrącił Stamford ze śmiechem. – Mógłby pan wydawać pismo pod tytułem: „Nowiny policyjne z przeszłości”.

– Ręczę panu, że byłyby bardzo zajmujące – odparł Sherlock Holmes, przylepiając plasterkę na ranę, zrobioną w palcu lancetem¹³. – Muszę być ostrożny – ciągnął dalej, zwracając się do mnie z uśmiechem i pokazał mi dłoń pozalepianą w różnych miejscach plasterkami i pełną plam od silnych kwasów.

13 lancet – narzędzie chirurgiczne, mały nóż o obustronnym ostrzu (w przeciwieństwie do skalpela, którego ostrze jest jednostronne).

– Przyszliśmy tu w pewnej sprawie – rzekł wreszcie Stamford, siadając na wysokim trójnogu i podsuwając mi nogą drugi. – Ten oto mój przyjaciel szuka mieszkania, a że pan skarżył się, iż nie może znaleźć współlokatora, pomyślałem sobie, że dobrze by było was skojarzyć.

Sherlock Holmes przyjął z zapałem myśl wspólnego zamieszkania ze mną.

– Mam na widoku lokal przy Baker Street – rzekł. – Jak stworzony dla nas. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza woń silnego tytoniu?

– Sam palę tylko tytoń „okrętowy” – odparłem.

– Doskonale. Upprzedzam pana, że zawsze pełno u mnie różnych chemikaliów i że niekiedy robię doświadczenia. Czy to panu nie będzie przeszkadzało?

– Bynajmniej.

– Chwileczkę... niech się zastanowię nad tym, jakie mam jeszcze wady niemiłe dla współlokatora... A!... miewam napady czarnej melancholii, a wówczas całymi dniami nie otwieram ust. Proszę wtedy nie przypuszczać, że dąsam się na pana. Proszę mnie zostawić w spokoju i niebawem powrócę do równowagi. A teraz na pana kolej. Cóż mi pan powie o sobie? Uważam bowiem, że skoro dwaj ludzie mają razem zamieszkać, lepiej jest, aby z góry uprzedzili się wzajemnie o swoich wadach.

Roześmiałem się z tego badania.

– Mam szczeniaka, brytana – odrzekłem – protestuję przeciw wszelkim hałasom, gdyż nerwy moje są bardzo rozstrojone, wstaję o rozmaitych niemożliwych godzinach i jestem niesłychanie leniwy. Posiadam jeszcze całą serię innych wad, gdy jestem zdrow, ale na razie te są najważniejsze.

– Czy grę na skrzypcach włącza pan do kategorii hałasów? – zapytał z pewnym niepokojem.

– Zależy... – odparłem. – Dobra gra na skrzypcach jest rozkoszą dla bogów, gdy tymczasem rzepolenie...

– O! to znakomicie! – zawołał wesoło. – Zdaje mi się, że możemy uważać sprawę za ubitą... to jest, jeśli lokal spodoba się panu.

– Kiedy go obejrzymy?

– Niech pan wstąpi po mnie tutaj jutro w południe, pójdziemy razem – odparł.

– Doskonale... w południe, punktualnie – rzekłem, ściskając dłoń Holmesa.

Pozostawiliśmy go wśród retort i butelek i skierowaliśmy się w stronę mojego hotelu.

– Ale, ale – rzekłem nagle, zatrzymując się i zwracając się do Stamforda – skąd on, u licha, wiedział, że powróciłem z Afganistanu?

Mój towarzysz uśmiechnął się zagadkowo.

– Jest to właśnie jeden z jego osobliwych przymiotów – odrzekł. – Niemало ludzi już łamało sobie głowę nad tym, w jaki sposób Holmes odgaduje rozmaite rzeczy.

– Oho! A więc jest w tym jakaś tajemnica? – zawołałem, zacierając dłonie. – To zaczyna być zajmujące. Jestem panu bardzo wdzięczny za tę znajomość. Najwłaściwszym sposobem studiowania ludzkości jest stopniowe studiowanie różnych jednostek.

– A więc niech pan przestudiuje tę jednostkę – rzekł Stamford, żegnając się ze mną. – Uprzedzam tylko, że będzie to zadanie niełatwe do rozwiązania. Założę się, że niebawem on będzie wiedział o panu więcej niż pan o nim. Do widzenia!

– Do widzenia! – odparłem i ruszyłem w dalszą drogę do hotelu, na serio zaintrygowany osobą mojego nowego znajomego.

Rozdział II

Sztuka dedukcji

Następnego dnia spotkaliśmy się o umówionej godzinie i obejrzelśmy mieszkanie przy Baker Street 221b, o którym mówił Holmes. Składało się z dwóch wygodnych sypialni i z jednej obszernej, eleganckoumeblowanej bawialni¹⁴ o dwóch dużych oknach. Lokal był pod każdym względem ponętny, a cena wydawała się tak umiarkowana, skoro mieliśmy ją płacić we dwóch, że dobiliśmy targu na miejscu. Ponieważ mieszkanie było wolne, przeto tego samego wieczoru przeniosłem rzeczy z hotelu, a następnego dnia rano przyjechał Sherlock Holmes ze skrzyniami i kuframi. Przez kilka dni byliśmy gorliwie zajęci odpakowywaniem, ustawianiem i układaniem naszych rzeczy. Po czym, ukończywszy pracę, zaczęliśmy myśleć o sprawach gospodarczych i przyzwyczajając się stopniowo do nowego otoczenia.

Holmes nie był bynajmniej człowiekiem trudnym w pożyciu. Spokojny w obejściu, prowadził życie systematyczne. Rzadko kiedy kładł się spać po dziesiątej, a z rana, zanim ja wstałem, on już, zjadłszy śniadanie, wychodził. Niekiedy spędzał całe dni w pracowni chemicznej, innym razem w sali sekcyjnej, a bywało, że wybierał się na długie przechadzki po najnędzniejszych zaułkach miasta. Trudno sobie wyobrazić całą siłę jego energii, gdy był w okresie czynu; ale od czasu do czasu przychodziła reakcja, a wówczas całymi dniami leżał na kanapie w bawialni, bez słowa i bez ruchu prawie. W chwilach podobnych zauważyłem tak senny, bezmyślny wyraz w jego oczach, że byłbym niewątpliwie posądził go o używanie jakiegoś narkotyku, gdyby nie jego wzorowa wstrzemięźliwość i przykładowy tryb życia.

14 bawialnia (dawn.) – salon.

Mijały tygodnie, a ciekawość moja wzmagala się stopniowo – jaki był właściwie zawód mojego współlokatora, jakie miał cele w życiu? Zresztą sama jego postać mogła zwrócić uwagę najobojętniejszego obserwatora. Wysokiego wzrostu, miał przeszło sześć stóp¹⁵, a był tak szczupły, że wydawał się jeszcze wyższy. Oczy miał bystre, przenikliwe, tylko nie podczas owych napadów odrętwienia, o których wspominałem. Nos cienki, zakrzywiony jak dziób drapieżnego ptaka, nadawał twarzy jego wyraz stanowczy i czujny. Podbródek, wystający i kwadratowy, był również cechą charakterystyczną człowieka silnej woli. Ręce miał zawsze poplamione atramentem i poparzone gryzącymi kwasami, przy tym posiadał nadzwyczajną zwinność palców i lekki dotyk, o czym przekonałem się niejednokrotnie, patrząc, jak manipulował kruchymi narzędziami fizycznymi.

Wyznaję szczerze, że człowiek ten intrygował mnie niesłychanie i że wielokrotnie usiłowałem przeniknąć tajemnicę, jaką się otaczał. Należy uprzytomnić sobie, że życie moje było beczynne i niewiele rzeczy zajmowało moją uwagę.

Zdrowie pozwalało mi wychodzić tylko podczas wyjątkowo sprzyjającej pogody, nie miałem znajomych, którzy przysliby mnie odwiedzić i przerwać jednostajność takiego uciążliwego trybu życia. Wobec takich okoliczności schwyciłem skwapliwie sposobność zapelnienia czymkolwiek czasu i snułem najrozmaitsze domysły co do swego towarzysza.

Medycyny nie studiował. Potwierdził sam, w odpowiedzi na pytanie o to, co mi o nim w tym względzie powiedział Stamford. Książki, które czytywał, nie były ujęte w jakiś system, pozwalający mu czynić postępy w pewnej określonej gałęzi wiedzy lub utworować specjalną ścieżkę do świata nauki. Jednakże jego zapal do pewnych studiów był istotnie niezwykły, a jego wiadomości, wychodzące poza obręb utartych granic, były tak obszerne i dokładne, że uwagi jego wprawiały mnie nieraz w zdumienie. „Oczywiście – myślałem – nikt nie będzie pracował tak usilnie ani usiłował zdobyć tak dokładnych wiadomości w pewnych kierunkach, jeśli nie ma na widoku jakiegos

15 stopa – angielska jednostka miary, wynosząca 30,48 cm.

określonego celu. Nikt nie będzie obciążał umysłu przeróżnymi podrzędnymi wiadomościami, nie mając po temu ważnych powodów”.

Jego ignorancja w pewnych sprawach była równie zdumiewająca, jak jego wiedza w innych. Z dziedziny literatury współczesnej, filozofii i polityki wiedział tyle co nic. Gdy przytoczyłem pewnego razu Tomasza Carlyle’a¹⁶, Holmes zapytał mnie najnaiwniej w świecie, kto to taki i co on zrobił. Zdumienie moje wszakże dosięgło szczytu, gdy wykryłem przypadkiem, że nie miał pojęcia o teorii Kopernika ani o Układzie Słonecznym. Fakt, że w końcu XIX wieku istniał człowiek cywilizowany, który nie wiedział, że ziemia obraca się dookoła słońca, wydawał mi się tak niesłychany, że nie mogłem wprost temu uwierzyć.

– Jest pan, jak widzę, zdziwiony – rzekł, uśmiechając się na widok mego osłupienia. – Ale teraz, skoro już wiem, dołożę wszelkich starań, żeby o tym zapomnieć.

– Żeby zapomnieć?

– Widzi pan – objaśniał – mózg człowieka jest dla mnie niby strych, który każdy winien umeblować według własnego wyboru. Głupiec zapcha go tandetą, jaka mu się nawinie pod rękę, tak że na wiadomości, które mogłyby mu przynieść istotny pożytek, nie będzie miejsca albo w najlepszym razie znajdą się w takim chaosie wraz z różnymi rzeczami, że gdy nastarczy mu się sposobność skorzystania z nich, już ich wcale nie zdoła odnaleźć. Natomiast pracownik zapobiegliwy jest bardzo ostrożny w zapewnianiu swego strychu mózgowego. Umieści w nim tylko te narzędzia, które mogą mu być użyteczne w pracy, ale ma ich dobór obfity i wzorowo uporządkowany. Błędne jest mniemanie, że ta mała izdebka ma rozciągliwe ściany, które można dowolnie rozszerzyć. Niech mi pan wierzy, iż nadchodzi czas, kiedy w zamian za każdy nowy dodatek do swej wiedzy człowiek zapomina coś, o czym wiedział poprzednio. Stąd też niesłuchanie ważne jest, aby fakty niepotrzebne nie wypierały z miejsca pożytecznych.

– Ależ Układ Słoneczny! – zaprotestowałem.

16 Thomas Carlyle (1795–1881) – szkocki konserwatywny filozof, historyk i pisarz, twórca teorii wielkiego człowieka, zgodnie z którą historia jest napędzana przez wybitne jednostki.

– A mnie cóż on obchodzi – przerwał niecierpliwie. – Powiada pan, że obracamy się naokoło słońca. Gdybyśmy się obracali dookoła księżyca, nie zrobiłoby mi to najmniejszej różnicy i nie miałyby najmniejszego wpływu na moje prace.

Zamierzałem spytać go, jakie właściwie są te prace, ale coś nieuchwytnego w jego zachowaniu wskazało mi, że pytanie takie byłoby na razie niewłaściwe. Gdy wyszedł, zacząłem się zastanawiać nad tą krótką rozmową i wysuwać z niej wnioski. Holmes powiedział, że nie stara się o nabycie wiadomości niedotyczących jego celu. A zatem wszystkie te, które posiada, są mu przydatne. Wyliczyłem sobie w myśli wszystkie przedmioty, z którymi wydawał mi się wyjątkowo dobrze obznajmiony. Wziąłem nawet ołówek i spisałem je, a gdym skończył, nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu na widok dokumentu, jaki sporządziłem. Brzmiał, jak następuje:

„Streszczenie wiedzy Sherlocka Holmesa

1. Literatura – nieznajomość zupełna.
2. Filozofia – nieznajomość zupełna.
3. Astronomia – nieznajomość zupełna.
4. Polityka – znajomość mierna.
5. Botanika – wiadomości nierówne. Obznajmiony doskonale ze wszystkim co dotyczy belladony, opium i trucizn w ogóle. Nie ma pojęcia o ogrodnictwie praktycznym.
6. Geologia – wiadomości praktyczne, lecz ograniczone. Odróżnia od pierwszego rzutu oka różne gatunki gruntu. Po powrocie z przechadzek pokazywał mi niejednokrotnie plamy na spodniach i objaśniał, jak po barwie i składzie poznaje, z jakiej dzielnicy Londynu pochodzi każda plama.
7. Chemia – wiadomości bardzo gruntowne.
8. Anatomia – wiadomości dokładne, ale niesystematyczne.
9. Literatura sensacyjna – znajomość niesłychana. Zdaje się, że wie o każdym szczególnie każdej zbrodni popełnionej w ciągu wieku.
10. Gra dobrze na skrzypcach.
11. Jest wyśmienitym bokserem, fechtuje się świetnie.
12. Zna dobrze przepisy kodeksu brytyjskiego”.

Ale zaledwie skończyłem ten spis, ze złością wrzuciłem go w ogień.

„Zamiast męczyć się nad tym – pomyślałem – do czego może prowadzić taki zbiór przeróżnych wiadomości i jakiego jest rodzaju zawód, w którym się mogą przydać, lepiej od razu zrezygnować”.

Wspomniałem, że Holmes grał dobrze na skrzypcach. Miał istotnie duży talent, ale objawiał go w sposób równie ekscentryczny, jak wszystkie inne wiadomości. Wiedziałem dobrze, że grał wprawnie utwory niełatwe, gdyż na moje prośby grywał mi pieśni Mendelssohna¹⁷ i inne sławne kompozycje. Gdy wszakże brał skrzypce z własnego popędu, rzadko kiedy grał jak się należy. Siedział najczęściej wyciągnięty w fotelu, zamykał oczy i brzdąkał po strunach skrzypiec, które kładł na kolanach. Niekiedy wydobywał dźwięki łagodne i smętne, niekiedy struny rozbrzmiewały wesoło, energicznie. Najwidoczniej odpowiadał w ten sposób na swoje najskrytsze myśli; ale czy ta muzyka miała na celu podniecić jego wyobraźnię, czy też wynikała z chwilowego kaprysu – nie potrafię powiedzieć.

Zbuntowałem się niechybnie przeciw tym denerwującym popisom, gdyby nie to, że zazwyczaj kończył rżepolenie odegraniem całego szeregu moich ulubionych utworów, chcąc tym niewątpliwie wynagrodzić mi owo wystawienie na próbę mojej cierpliwości.

Przez pierwszy tydzień nikt nas nie odwiedził i zacząłem przypuszczać, że mój współlokator jest człowiekiem równie osamotnionym jak ja. Stopniowo jednak przekonałem się, że ma dużo znajomych, i to we wręcz przeciwnych sferach towarzyskich. Zauważyłem między innymi niskiego, szczupłego mężczyznę, o bladej twarzy, czarnym, przeszywającym oku, którego głowa przypominała szczególnym kształtem łeb szczura. Przychodził dwa, trzy razy na tydzień, a Holmes przedstawił mi go jako pana Lestrade’a.

Pewnego ranka przyszła młoda, wytwornie ubrana dziewczyna i siedziała u Holmesa przeszło pół godziny. Tego samego dnia po południu zjawił się siwy jegomość w wytartym ubraniu, który wyglądał na Żyda-handlarza i wydawał mi się bardzo wzburzony. Niezwłocznie

17 Felix Mendelssohn-Bartholdy (1809–1847) – niemiecki kompozytor romantyczny.

prawie po nim ukazała się stara kobieta w podartych trzewikach. Innym razem jakiś stary, siwowłosy pan miał naradę z moim współlokatorem, a nazajutrz przyszedł urzędnik kolejowy, którego poznałem po mundurze. Ilekroć zjawiał się taki dziwaczny gość, Sherlock Holmes prosił mnie, abym mu pozwolił korzystać z bawialni, a ja wówczas zamykałem się w swojej sypialni. Tłumaczył się zawsze i przepraszał mnie za to. „Ten pokój – mówił – musi mi służyć za biuro; ci wszyscy ludzie to moi klienci”. Byłbym znów mógł skorzystać z tej sposobności i zapytać go zniecierliwie, ale wrodzona delikatność powstrzymała mnie od zmuszenia go do zwierzeń. Nadto z czasem zacząłem przypuszczać, że Holmes ma jakieś specjalne powody do pomijania milczeniem swego właściwego zajęcia; niebawem wszakże sam wprowadził mnie z błędu.

Dnia 4 marca – mam poważne powody pamiętać dokładnie tę datę – wstałem nieco wcześniej niż zwykle i zastałem Sherlocka Holmesa jeszcze przy śniadaniu. Nasza gospoia tak przywykła do mojego późnego wstawania, że na stole nie było jeszcze nakrycia dla mnie ani też kawa dla mnie nie była jeszcze przygotowana. Z niecierpliwą niecierpliwością, właściwą naturze ludzkiej, zadzwoniłem i suchym tonem oznajmiłem gospodyni, że jestem ubrany. Po czym wziąłem jakieś czasopismo ze stołu i zabrałem się do przeczucia go dla zabicia czasu, gdy mój towarzysz spożywał w milczeniu swoje grzanki. Jeden z artykułów był zaznaczony ołówkiem; oczywiście zacząłem go czytać.

Pretensjonalny nieco tytuł artykułu brzmiał: „Księga życia”, a autor usiłował w nim wykazać, jak wielką korzyść może osiągnąć człowiek z dokładnego i systematycznego obserwowania powszednich wydarzeń. Artykuł wydał mi się szczególną mieszaniną bystrości i głupoty.

Rozumowanie było ścisłe, ale wnioski, jak dla mnie, zbyt naciągane i przesadne. Autor utrzymywał, że chwilowy wyraz twarzy, skurcz mięśnia lub błysk oka wystarczy, aby zdradzić najtajniejsze myśli człowieka. Człowiek przyzwyczajony do obserwowania i analizy nie mógł się mylić, zdaniem autora, i musiał wysuwać wnioski równie

matematyczne jak Euklides¹⁸ w swych teoriach. Wyniki metody wydają się niewtajemniczonemu tak zdumiewające, że dopóki się nie zaznajomi ze sposobem jej stosowania, może je uważać za jakies czarnoksiężskie zjawiska.

„Człowiek obdarzony umysłem prawdziwie logicznym – pisał autor – może z kropli wody wywieść możliwość istnienia Atlantyku lub Niagary, choć o nich poprzednio nic nie wiedział. Tak to życie człowieka jest wielkim łańcuchem, a dość znać jedno jego ogniwo, aby je umieć połączyć w całość z innymi. Podobnie jak wszystkie rodzaje wiedzy i naukę dedukcji i analizy można również zdobyć drogą długich i cierpliwych studiów, ale życie nie jest dość długie, aby śmiertelnik mógł osiągnąć w tym kierunku najwyższą doskonałość. Zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i umysłowego przedmiot to tak zawiśnięty, że zrazu należy zacząć od rozwiązywania zagadnień najprostszych. Nauczmy się, spotykając bliźniego, od jednego rzutu oka odgadywać jego historię, jego rzemiosło lub zawód. Jakkolwiek błaha wydać się może taka wprawa, niemniej zaostreza zmysł obserwacyjny i uczy, gdzie i jak czego szukać. Paznokcie, rękaw, obuwie, zagięcia spodni dokoła kolan, kształt palca wskazującego i dużego, wyraz twarzy, mankiety od koszuli – to wszystko wskazówki pozwalające poznać zawód danego człowieka. Niepodobna sobie wyobrazić, żeby złączone razem nie dały inteligentnemu badaczowi pożądanych wyników”.

– Jakaż niesłychana gmatwanina! – zawołałem, rzucając pismo na stół. – W życiu swoim nie czytałem takich idiotyzmów!

– Co takiego? – spytał Holmes.

– Ten artykuł! – odparłem i wskazałem łyżeczką od jajek, zabierając się do śniadania. – Widzę, że pan go też czytał, skoro jest zaznaczony. Nie przeczę, że napisany jest zręcznie. Ale irytuje mnie. Założyłbym się, że to teorie próżniaka, który, rozparty w fotelu, rozwija te wszystkie ładne paradoksy w samotnym gabinecie. Przecież

18 Euklides (ok. 365 – ok. 270 r. p.n.e.) – słynny antyczny grecki matematyk i geometra.

wcale nie mogą mieć zastosowania praktycznego. Chciałbym tego pana widzieć w wagonie trzeciej klasy kolei podziemnej, niechby mi tam wyliczał zajęcia swoich współpasażerów. Założyłbym się o tysiąc przeciw jednemu, że temu nie podołałby.

– I przegrałby pan – rzekł Holmes flegmatycznie. – Co zaś do artykułu, to ja go napisałem.

– Pan?!

– Tak. Mam wrodzoną skłonność zarówno do obserwacji, jak i do dedukcji. Teorie, które wyłożyłem w artykule, a które wydają się panu tak fantastyczne, mają w istocie rzeczy wielkie zastosowanie praktyczne, tak dalece, że są podstawą mojego zarobku.

– A to w jaki sposób? – spytałem mimo woli.

– Mam swój specjalny zawód i zdaje mi się, że uprawiam go sam jeden na całym świecie. Jestem detektywem-doradcą, jeśli pan rozumie, co to znaczy. Mamy tu w Londynie chmary detektywów rządowych i prywatnych. Gdy ci znajdują się w kłopotcie, przychodzą do mnie, a ja naprowadzam ich na właściwy trop. W tym celu przedstawiają mi szczegółowo fakty i okoliczności, mające z nimi związek, ja zaś, przy pomocy znajomości historii zbrodni, daję im niechybne wskazówki. Przestępstwa mają wzajemnie jakby podobieństwo rodzinne. Jeśli zna pan na wylot szczegóły tysiąca zbrodni, niepodobna prawie, żeby nie mógł pan wyjaśnić tysiąc pierwszej. Lestrade jest dobrze znanym detektywem. Niedawno jednak nie mógł sobie poradzić ze sprawą fałszerstwa i to sprowadziło go tutaj do mnie.

– A ci inni pańscy goście?

– To ludzie przysyłani przeważnie przez prywatne agencje. Wszyscy mają jakieś kłopoty i żądają pomocy, wskazówek. Ja słucham ich opowiadań; oni słuchają moich komentarzy i... wsuwam do kieszeni honorarium.

– A więc pan utrzymuje – rzekłem – że nie opuszczając swego pokoju, może pan wyjaśnić sprawę, która dla innych, choć zbadali na miejscu wszystkie szczegóły, jest ciemna?

– Tak jest. Dopomaga mi w tym wrodzona intuicja. Od czasu do czasu zdarzają się sprawy bardziej zawikłane; wówczas muszę ruszyć się z miejsca i zbadać stan rzeczy naocznie. Zauważył pan może, iż

posiadam dużo wiadomości specjalnych; korzystam z nich wszystkich przy rozwiązywaniu zagadnień, a to niezmiernie ułatwia sprawę. Metoda dedukcyjna, wyjaśniona w artykule, który pana oburzył, oddaje mi nieocenione usługi praktyczne. Obserwacja stała się moją drugą naturą. Był pan zdziwiony, gdy panu powiedziałem, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, że powraca pan z Afganistanu, czy tak było?

– Niewątpliwie ktoś to panu powiedział.

– Bynajmniej. „Spostrzegłem”, że pan wrócił z Afganistanu. Dzięki dawnemu przyzwyczajeniu moje myśli wiążą się tak szybko, że doszedłem do wniosku, nie zdając sobie sprawy z ogniów pośrednich, które łączą te myśli. A jednak one istnieją. Bieg mojego rozumowania był następujący: „Oto jegomość w typie lekarza, ale jednocześnie i pozór żołnierza. Jest to zatem oczywiście lekarz wojskowy. Powrócił tylko co z jakiegoś kraju podzwrotnikowego, bo ma cerę ogorzałą, a nie jest to jej zwykła barwa, bo ręce w kostce są białe. Znosił ciężkie niewygody, przeszedł chorobę, mówi o tym wyraźnie wynędzniała twarz i podkrążone oczy. Nadto miał zranioną lewą rękę: jest sztywna i ma utrudnione ruchy. W jakim kraju podzwrotnikowym mógł angielski lekarz wojskowy znosić niewygody, chorować i zostać zraniony? Oczywiście w Afganistanie. Całe to rozumowanie nie trwało sekundy. Po czym powiedziałem, że pan powrócił z Afganistanu, co pana mocno zdziwiło.

– Dzięki pańskim objaśnieniom wydaje mi się to teraz dosyć proste – rzekłem z uśmiechem. – Przypomina mi pan Dupina Edgara Allana Poe¹⁹. Nie wyobrażałem sobie, żeby takie jednostki mogły istnieć nie tylko w literaturze, ale i w życiu rzeczywistym.

Sherlock Holmes wstał i zapalił fajkę.

– Sądzi pan niewątpliwie, że tym porównaniem z Dupinem mi pan pochlebia – zauważył. – Tymczasem moim zdaniem Dupin był człowiekiem bardzo pospolitym. Cała jego sztuka polega na tym, że po kwadransie milczenia znienacka wdziera się trafną uwagą w myśli

19 Edgar Allan Poe (1809–1849) – amerykański pisarz romantyczny, twórca utworów fantastycznych, powieści i opowiadań grozy, prekursor powieści detektywistycznej, stworzył postać paryskiego detektywa Auguste’a Dupina.

swojego przyjaciela. Jest to metoda efektowna, ale bardzo powierzchowna. Posiada on niewątpliwie pewien zmysł analityczny, ale nie jest bynajmniej takim niezwykłym zjawiskiem, jakim go chce przedstawić Poe.

– Czytał pan dzieła Gaboriau?²⁰ – spytałem. – Czy Lecoq jest dla pana typem doskonałego detektywa?

Sherlock Holmes zaśmiał się szyderczo.

– Lecoq jest marnym partaczem – odparł rozdrażnionym tonem. – Ma tylko jedną zaletę, a mianowicie energię. Ta książka przyprowadziła mnie po prostu o chorobę. Chodzi tam o stwierdzenie tożsamości nieznanego więźnia. Ja dokonałbym tego w ciągu dwudziestu czterech godzin. Lecoq zaś potrzebował na to sześciu miesięcy. Ta praca Gaboriau powinna być stać się dla detektywów podręcznikiem, który nauczyłby ich, czego powinni unikać.

Gniewało mnie trochę to lekceważenie dwóch bohaterów, którzy budzili we mnie podziw. Podszedłem do okna i stanąłem, przyglądając się ożywionemu ruchowi ulicznemu.

„Ten jegomość może być bardzo mądry – pomyślałem – ale jest też niezwykle zarozumiały”.

– Dzisiaj nie ma już ani zbrodni, ani zbrodniarzy – zaczął znów zgryźliwie Holmes. – Porządny mózg jest dziś zbyt cenny w naszym zawodzie. Wiem doskonale, że mam w sobie dane, aby rozślawić swoje nazwisko. Nie ma i nie było człowieka, który by z takim jak ja zasobem wiedzy nabytej i wrodzonych zdolności przystępował do śledzenia zbrodni. I jaki z tego rezultat? Nie mam czego śledzić. Zbrodnie już nie istnieją, są tylko co najwyżej drobne, pospolite przestępstwa, tak niezręcznie popełniane, że wykryje je najskromniejszy urzędnik Scotland Yardu.

Ta zarozumiałość drażniła mnie coraz bardziej, postanowiłem tedy zmienić temat rozmowy.

20 Émile Gaboriau (1832–1873) – francuski pisarz i dziennikarz, jeden z pierwszych autorów powieści detektywistycznych, twórca postaci detektywa Monsieura Lecoqa.

– Ciekaw jestem, czego ten tam szuka? – rzekłem, wskazując palcem barczystego, pospolicie ubranego człowieka, który siedł wolno przeciwniegiem chodnikiem i przyglądał się uważnie numerom domów. W ręku trzymał niebieską kopertę, widocznie miał spełnić jakieś zlecenie.

– Kto? Ten dymisjonowany podoficer marynarki? – spytał Sherlock Holmes.

„A niech go licha porwie z takim pyszałkostwem! – pomyślałem. – Dobrze wie, iż nie mogę sprawdzić, czy odgadł słusznie”.

Zaledwie zdążyłem sformułować tę myśl, gdy człowiek przez nas śledzony spostrzegł numer naszego domu i przebiegł spieszenie ulicę. Po chwili usłyszeliśmy głośne stukanie do drzwi, niski głos na parterze i ciężkie kroki na schodach.

– Dla pana Sherlocka Holmesa – rzekł, wchodząc do pokoju i podając list mojemu współlokatorowi.

Nastręczała mi się doskonała sposobność dania mu nauczki za tę nieznosną zarozumiałość, tym bardziej że gdy popisywał się swoją domyślnością, nie przypuszczał, iż będę mógł niezwłocznie sprawdzić jego słowa.

– Niech mi pan powie, mój przyjacielu – rzekłem tonem wielce uprzejmym – czym się pan właściwie zajmuje?

– Jestem posłańcem, proszę pana – odparł szorstko. – Dałem mundur do odświeżenia.

– A czym pan był poprzednio? – spytałem, spoglądając złośliwie na Holmesa.

– Sierżantem w lekkiej piechocie marynarki królewskiej. Nie ma odpowiedzi? Moje uszanowanie panom.

Trzasnął obcasami, uniósł rękę, zasalutował i wyszedł.